ROCZNIK XXXI. Lipiec 1909. Nr. 7.

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
Galicyjskiego Towarzystwa
OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Ossolińskich 11. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Mussila, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego.

Redaktor: Józef Białynia Chołodecki Lwów, ul. Sykstuska l. 62.
Redakcya otwarta w dnie powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic. Tow. ochrony zwierząt.

Marja Mazurkówna.

Nasze zabiegi.

Chcąc gruntownie a skutecznie w kwestji zwierząt działać, musimy ideę naszą sprowadzić z abstrakcyjnych, mglistych wyżyn, w rzeczywisty padół zła i płaczu, a promienie jej skierować w strony, gdzie masy ludu i rzesz robotniczych, blasku jej nigdy nie oglądają. Dopóki bowiem idea nasza, masom owym nieznaną będzie, dopóki najurodzajniejsza część gleby duchowej tych ludzi, ugorem pustynnym świecić będzie — mówić nie możemy o jakichkolwiek zdobyczach na tem polu.

Bo, że tam od czasu do czasu, mniejsza lub większa, stosownie do przygodnych okoliczności, liczba nowych, mniej lub więcej obojętnych dla sprawy członków Towarzystwu przybędzie — nie koniec to jeszcze naszych żmudnych starań, walk i nawoływań. Trzeba głosu nie szczędzić i nie ustawać w tych staraniach, walkach i nawoływaniach, których niestety, każda dobra i ponad miernotę sięgająca sprawa, wiele poświęcić musi na marne, nim celu dosięgnie. Ogarniają też czasem chętnych do działania, chwile jakby znużeń czy zwątpień, wywo-

łane powolnem posuwaniem drogiej sprawy naprzód, lecz otrząsają się oni z nich prędko, by znów w szeregu stanąć.

Przypomina mi się tu zdanie jednego z naszych wybitnych działaczy społecznych, który chory bawiąc zdala od ojczyzny, te słowa w kwestji uprzemysłowienia kraju, kreśli w liście prywatnym: „...Tracony głos powoli odzyskuję — lecz na cóż przyda się głos wołającego na puszczy?..“ Zaiste, na cóż głos, gdy słuchaczy niema, i gdy najczystsze i najpiękniejsze jego dźwięki, w pustkę bezdenną padają. Na cóż chęci i starania, gdy najśliczniejsze z nich, jak o granit, o zimny chłód i sztywną obojętność mas ludzkich się rozbijają A to jest przecie najsmutniejsze!

I właśnie dlatego, że idea nasza jest tak cudną, prostą i jasną, i że tak niewysłowienie szlachetny i dostojny wpływ na istotę człowieka wywierać może — żal się czyni, iż nie objęła ona jeszcze tęczą poznania, ciepłem zrozumienia i pragnieniem czynu tych szerokich mas, przez które najbardziej ukochaną i zrozumianą być może i być powinna. Mam tu na myśli nasz lud, rzesze robotnicze i dzieci. Że, taki ogrom ludzkości przechodzi przez świat i życie, nietylko bez zaszczepionej i przyjętej w jego duszy ślicznej idei, rządzącej każdym czynem człowieka w stosunku do świata zwierząt — lecz, że najczęściej nie wie on nawet o jakiemkolwiek jej istnieniu, to już jest winą. A winą jest tych, którzy członkami Towarzystwa naszego będąc — po za uiszczeniem drobnej wkładki pieniężnej, po za złożeniem legitymacji członkowskiej w zaciszne skrytki domowe po za pobieżnem, od czasu do czasu, przesunięciem przed oczyma „Miesięcznika“ — nie poczuwają się do obowiązku szerzenia pięknej idei, choćby w gronie najbliższych, do zamiany jej w czyn, do wspólnego łączenia się tym sposobem z tymi, których garstka niewielka wytęża siły ponad możność własną, by nałożonemu na się w tak trudnych warunkach zadaniu sprostać i duchem zawsze trwać u celu, tak w rzeczywistości dalekiego.

Członkowie wszyscy działać tu powinni, każdy wedle sił i warunków własnych. Obywatelstwo kraju zatem, świecić przykładem, zagrzewać do łączenia się i szerzenia dobrej sprawy, kościół, w odpowiednio zwróconych naukach, przemawiać do duszy ludu i roboczej braci, uszlachetniać ich w tym kierunku, a drogą smutnych przykładów, z zaprawiania się w okrucień-

stwie i znęcania nad niemymi stworzeniami wynikających, oraz marnowania tym sposobem majątku własnego w żywym inwentarzu umieszczonego — ukazywać im ciche, jasne szlaki współczucia dla nędzy i bolu nietylko bliźnich, lecz i trudzącego się i poświęcającego dla nas całe swe piękno i wszystkie siły, świata zwierząt.

Szkoła zaś, ma tu największe i najpiękniejsze pole do działania, przez możność wywierania w tej mierze wpływu na świeże, młode, wrażliwe i nieskażone jeszcze żadnem zepsuciem umysły dzieci. Stosownie do każdego przedmiotu nauki szkolnej, nawiązać można niejedno, co zwróci uwagę i ciekawość dziecka, w nieznany i dziwów dlań pełny świat zwierzęcy, i przygotuje serca glebę pod zasiew najlepszych w tym kierunku chęci, w końcu zasieje miłość, współczucie i litość. Uczucia zaś te, przez całe dalsze życie okwitać będą delikatnem kwieciem dobrych i rozumnych czynów w spółżyciu z przyrodą i jej cudnym, tak mało znanym i tak bardzo dotychczas cierpiącym światem zwierząt.

Jeśli więc nauczycielstwo przejmie się doniosłością posłannictwa swego, i jeśli samo ideę naszą ukocha tak, że wszelkie trudy nauczania chętnie na jej ołtarzu złoży — będziemy mieć społeczeństwo wolne od całego szeregu mnożących się dziś w straszny spasób zbrodni, od dzikich, złych obyczajów i niskich charakterów. Natomiast wiele rajskiego pokoju i piękna ozłoci naszą smutną ziemię, opromieni dusze ludzkie, a życie wszelkich, tak bardzo dziś nieszczęśliwych i poniewieranych stworzeń bożych, jaśniejszem uczyni. Szkoła powtarzam, ma w tej kwestji najrozleglejsze i najwdzięczniejsze pole do działania. Żadna bowiem nauka w wieku późniejszym odbierana, nie rzeźbi tak głębokich i trwałych w duszy i umyśle znaków, jak ta, zacnie i rozumnie w najwcześniejszą młodość wszczepiona. Niech pamięta z nas każdy, że „Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały. — Choć przeminie sama szparka, cios jej dłuta wiecznie trwały!“ I chociaż wiek dojrzały pozbawi niejednego z tych ludzi złudzeń różowych, a los mu drogę wytknie ciernistą i żmudną, nie będą tak często na usta jego wybiegać przekleństwa i złorzeczenia, jakimś protestem niewysłowionym, a sroga ręka mścić się na najbliższym i bezsilnym wobec ich złości cichym pracowniku, zwierzęciu.

Nauczycielstwo zatem, przyjąwszy się pięknem sprawy naszej, może zdziałać dla jej dobra najwięcej. Niechaj tylko pojmie, że czyni to — „co każe duch Boży — a całość sama się złoży.“

Towarzystwo nasze, wiedzione tym etycznym na sprawę ochrony zwierząt poglądem, wniosło swego czasu pismo do Rady szkolnej krajowej, z propozycją zaabonowania dla wszystkich szkół w kraju naszego „Miesięcznika“ — co przyczyniłoby się do zaznajomienia większości o istnieniu Towarzystwa, a w następstwie złączenia się z niem wspólnem dla ogólnego dobra działaniu.

Czekamy rezultatu z nadzieją, że głos nasz nie będzie tylko smutnym głosem wołającego na puszczy.

Więc cyt — słuchajmy — a może się wnet ozwą jakoweś błogosławione echa....

Józef Białynia Chołodecki.

Z Abbazji.

O porannej godzinie pogodnego dnia lipcowego, wpada nasz spieszny budapeszteński pociąg w załomy Krasu (Karstu), w ten dziwnie dziki, wapiennymi skałami, oraz licznemi kotlinami i jamami urozmaicony krajobraz, gdzie to skąpo uprawiane rolnictwo, ma za podstawę jedynie czerwoną, gliniastą ziemię. Pociąg wrzyna się w ciosane w skałach wąwozy, znika co chwila w tunelach, wije w serpentynach po stokach, pnie coraz to wyżej, wbiega w pomrokę mglistą, przebija całun chmur, wynosi się ponad obłoki, a stanąwszy na szczycie grzbietów górskich, otwiera przed nami cudny widok mórz głębiny, obramionej od północy wyniosłemi Alpami i rozsianemi wzdłuż oceanu osadami. To wybrzeże Adrji, kraina gajów wawrzynowych, kraina drzew oliwnych i figowych, kraina szlachetnych kasztanów, winogron, morw, migdałów, mirtów, rododendronów, aloesów, kamelij, pomarańcz, magnolij, granatów, oleandrów, smukłych cyprysów, palm i afrykańskiego sagowca. Mało tutaj dziko żyjących zwierząt ssących; w wyżynnych lasach napotyka

się tylko sarny i zające, wiewiórki, popielice, łasice, tchórze, kuny, żbiki i lisy, a w okolicy Klany wilki i niedźwiedzie. Te to wybrzeże, zwane także austryjacką Rivierą, jest od ćwierć wieku miejscem letnich i zimowych wycieczek klimatycznych mieszkańców wszech narodowości, którzy w Abbacji, Cirkvenicy, Lussinpiccolo, Buccari, Portore, Volosce, Ice, Lovranie i innych miejscowościach, zażywają wywczasu i wśród rozkosznych widoków przyrody, krzepią swoje siły. Stolicą niejako całego pocztu tych osad, całego wybrzeża Istrji, jest pod względem położenia i warunków zdrowotnych Abbacja, po chorwacku Opatija (Opactwo), zawdzięczająca swą nazwę kościółkowi św. Jakóba, z końca XV. wieku, ongi własności OO. Benedyktynów, póżniej Jezuitów. Abbacja rozwija się tak szybko, iż w r. 1908 doszła liczba goszczących tamże kuracjuszów niespełna do 35.000.

Wśród licznych, postępowych, w całem tego słowa znaczeniu europejskich urządzeń Abbazji, nie brak i Towarzystwa ochrony zwierząt, którego zadanie jest tam atoli, o ile zauważyliśmy, nader ułatwionem i wdzięcznem. Koni mało znajduje się w tych okolicach, gdzie osły i muły spełniają zadanie jucznych zwierząt, a krajowe bydło rogate, nadaje się znakomicie do pociągu. Zamiast używanego u nas w Polsce, przypiętego twardo do dyszla, jarzma, którego sztywność unicestwia sama przez się część siły zwierzęcia, posługują się Chorwaci drewnianymi chomącikami. Na karku pary wołów spoczywają dwa odrębne jarzemka, spięte z dyszlem łańcuszkami, a więc ruchome, od których idą łańcuszki do orczyków, podobnie jak u koni. Ruchy więc woła są o wiele swobodniejsze i niezawisłe od ruchów współtowarzysza. Obok koni i bydła rogatego, uprawianą jest na wsi tylko hodowla owiec, podczas, gdy chów kóz ze względu na zalesienie Krasu zabroniony. Psów nie wiele trzymają mieszkańcy Abbazji, choćby przez wzgląd na spokój i bezpieczeństwo gości; to też nie dziw, iż wobec powyższych warunków zużyło Tow. ochrony zwierząt w r. 1907. z wkładek 685 koron zaledwie 89 koron na wydatki, i że, aczkolwiek młoda jest tamże instytucja, wykazała ona na walnem zgromadzeniu w lipcu 1908, 800 koron zaoszczędzonej gotówki. Wobec braku pupilów z szeregu zwierząt ssących, otacza abbazyjskie Towarzystwo swą gorliwą opieką, roje skrzydlatych naszych przyjaciół, a na wspomnianem walnem zgromadzeniu, uchwalono odnieść się z tytułu cesarskiego jubileuszu do duchowieństwa

całej Istrji, iżby ono z ambony popierało zabiegi Towarzystwa, pouczało ludność o użyteczności ptaków i przyczyniało się w ten sposób do uszlachetniania charakterów.

Zachwycającym, cudnym bo też zaprawdę jest świergot i śpiew drobnego ptastwa, budzącego rojnie w położonych wśród ogrodów willach, abbazyjskich gości, miłą poufałość, z jaką zbliżają się do ludzi. Tuż nad głową letnika nuci piosnkę wilga, u nóg jego szuka pokarmu kos śmiały, a w dali powtarza w gęstwinie słowiczek odziedziczoną po swych przodkach melodję, tę samą melodję, którą chwyta nas za serce wśród lasów i gajów polskiej ziemicy. Ponad wodami morza unoszą się nurki, morskie kruki i niezliczone stada mew. Jak gołębie na placu św. Marka w Wenecji, bujają one nad brzegami Abbazji, karmione z wielką uciechą przez dorosłych i młodzież. Cóż to za piękny widok, gdy w Wenecji na tle wyniosłej świątyni, oswojone gołąbki z całą ufnością siadają na ramionach i dłoni młodych pań, cóż to za piękny widok, gdy na wybrzeżu błękitnej Adrji, stada mew okalają ich skronie. Z rozpromienionem obliczem spozierają one na swoich małżonków, ci zaś z zachwytem obserwują pełen wdzięku obraz i uwieczniają go błyskawicznym aparatem fotograficznym, jako cenną pamiątkę pierwszych etapów wspólnego pożycia. Podczas jednak, gdy gołębie należą do stałych mieszkańców grodu lagunów, są mewy sezonowymi tylko gośćmi Abbazji. Późnej dopiero jesieni powracają one tutaj z letnich wycieczek w chłodniejsze strefy i obejmują w posiadanie opustoszałe zakłady kąpielowe. I tak jak w lecie przy balustradzie zdrojowego parku lub też wybrzerzu, grupuje się widz przy widzu, by badać pełne odmian życie kuracjuszów, tak przypatruią się oni w zimie z całem zainteresowaniem życiu mew, które z wyżyny słupów i rusztowań zazierają małemi, czarnemi oczkami na morze, długiemi różowymi dzióbkami oczyszczają swoje popielate piórka, które figlarnie ślizgają się na grzbiecie bałwanów, lub też grupują w przedziwnych kształtach na skałach i zwaliskach wód morskich.

Słychać przeciągły, donośny świst, — zapowiedź karmy. I oto zrywa się pierwsza mewa, przyciska silnie do ciała swe czerwone nóżki i lotem strzały pruje pogodne przestworze; za nią wzlatuje druga, trzecia, całe stado wznosi się do góry, a każda z nich zatacza koła wśród krakania i wrzasku, pełna

obawy, by przeznaczony dla niej kąsek nie minął celu, przeciwnie, by pochwycić i wydrzeć towarzyszce jej kawałek chleba. Czyż dziwić się jednak dzikiemu ptactwu, gdy wykształcony i tyle o swej szlachetności rozprawiający człowiek, dybie nieraz podstępnie na chleb współbliźniego!

Scirocco! Ołowiana barwa niebios, ołowiana barwa oceanu, a góry gęstym okryte welumem. Ponuro usposabia ludzi duszna atmosfera. Neptun poczyna się srożyć, oblicze jego w groźne układa się fałdy, mieni się w zielone, różowe i niebieskie barwy; pienią się nurty wśród skał i raf podwodnych i opryskują białą balustradę wybrzeża. Z główkami schowanemi głęboko w wzniesione ku górze ramiona, stoją ponuro i smutnie mewy po słupach i rusztowaniach, po skałach i zwaliskach, lub pełne trwogi i obawy, szybują w okół, jak ptactwo łąk i lasów przed nadchodzącą burzą.

Bora! On wypłasza Scirocco, rozdziera powłokę niebios, rozsuwa zasłonę z wysp i gór okrężnych, oczyszcza powietrze i z całą siłą uderza w morze, które staje, zda się, dęba, niby szlachetny, batem podcięty wierzchowiec. W blasku powracających promieni słonecznych, przybiera morze wygląd rozległej, srebrzystej płaszczyzny. Bałwan wpada tutaj na bałwana i łamie się w mlecznie białą pianę, pełną rąbków, żyłek i pasków, niby płyta marmuru. Na wodach morskich kołyszą się wtedy swobodnie zuchwali pływacy — mewy. To w górę, to w dół, zsuwają się zgrabnie z bałwana na bałwan, widne zawsze na wyżynie błyszczących nurtów. Neptun spokojny; ułagodziły go promienie słońca, a on całemi teraz tygodniami i miesiącami łagodnem spoziera obliczem. Perłowym blaskiem jaśnieje przezrocze morza pogodny błękit bije z stropu niebios, a podczas gdy szczyty i grzbiety górskie okryte śnieżną powłoką, w majowem, łagodnem powietrzu kąpie się Riviera. A parowcom, prującym nurty oceanu, towarzyszą mew gromady, niby aniołowie stróże baczą na ich kroki, wyprzedzają, dążą w ariergardzie, lecz dopóty ich nie opuszczają, dopokąd nie dobiją szczęśliwie do przystani.

Patrząc na te cuda przyrody, na tę niezrównaną harmonię wszechświata, musimy mimowoli postawić pytanie, czemu też człowiek najpierwsza istota na kuli ziemskiej, chełpiący się potęgą ducha, rozsądkiem, wiedzą i szlachetnemi charakteru przymiotami, jest tak bezlitośnie okrutnym dla świata zwierzęcego, czemu go wytępia bez potrzeby, znęca się nad nim dla błahej

igraszki i stwarza piekło tam, gdzie nieść oliwną gałązkę pokoju winno być jego szczytnem zadaniem.

Józef Białynia Chołodecki.

O wychowaniu i nakładaniu koni.

W rygskiem czasopiśmie *Der Anwalt der Thiere*, umieścił Robert Croon z Smoleńska, kilka cennych uwag, któremi dzielimy się z czytelnikami. Celem wychowania jest — mówi autor artykułu — przygotować przedmiot wychowywany do walki życiowej. Gdzie wychowanie jest niedokładne, lub też brak jego, tam wkracza znowu ręka szkoły życia z swemi razami; ona wypełnia luki w wychowaniu. Dotyczy to tak ludzi, jak i zwierząt, których matki podobnie jak u człowieka, wychowują swe młode sercem, niemniej jednak i surowemi środkami. I zwierzę karze swoje potomstwo, gdy łagodne środki zawodzą, biciem, drapaniem, kąsaniem — o czem nie trudno przekonać się u domowych zwierząt. U tych ostatnich, a zwłaszcza u koni, wkracza w prymitywny proceder wychowania przez matkę także i człowiek i prowadzi to wychowanie w dalszych latach ich życia. Człowiek uczy źrebię jeść z ręki, uczy je posłuszeństwa, zabrania mu kąsania i kopania, do czego wrodzony zdradza popęd; on uczy je dotknięcia po całem ciele, pokonywania łaskotek, uczy je podnoszenia nóg jakby do podkowania, uczy poddawania się wędzidłu i lejcom, obracania w prawo i lewo, cofania wstecz, słowem uczy, nakłada do wszystkiego, co należy do zakresu jego przyszłych obowiązków. Im bardziej, im dokładniej przyswaja sobie źrebię nauki ludzkie, tem mniej przykrym, twardym, jest późniejszy los jego życia. Dorosły, obowiązany do pracy koń, zbiera owoce swego wychowania. Jak rzadko atoli spotyka się z tak zwanem dobrem wychowaniem. Liczba tych, którzy je umieją prowadzić należycie, jest znikomo małą. Przeważnie część ludzi, skazanych na zarobek przy pomocy konia, nie troszczy się o jego wychowanie. Im mniej posiada człowiek sam wychowania, tem mniej zdolnym jest być kierownikiem wychowania zwierzęcia. Jego

argumentem, jest miast rozsądnego postępowania — bat. On nie pyta się o powody uporu stworzenia, on widzi tylko skutki i usiłuje surowością uzupełnić to, co zaniedbał był ongiś uzyskać w drodze wychowania. On maltretuje, niszczy konia, a w koniu przeważnie samego siebie, nietylko materjalnie, lecz i duchowo, popełnia bowiem ciężkie przewinienie. W niektórych okolicach zwykli mawiać wieśniacy: „Pamiętaj, że za każdy niesłuszny raz, jaki wymierzysz twojemu koniowi, będziesz musiał pokutować w niebie“. Tak powtarzają oni, baczą nawet na to, a przecież pod wpływem surowej natury, przy braku panowania nad sobą, puszczają wodze nierozsądnej namiętności. Jak długo szerokie warstwy ludowe, w których ręku spoczywa przeważnie los koni, nie będą o tyle ucywilizowane, żeby się mogły same hamować, a przynajmniej w połowie panować nad sobą, będzie ochrona koni nader skromne tylko wykazywać rezultaty. Właściwe źródło dręczenia koni, leży w braku systematycznego, należytego wychowania i nałożenia młodego stworzenia od pierwszych dni jego życia. Od samego początku nie zwraca się uwagi na usposobienie zwierzęcia, a właśnie te złe skłonności, które stoją na przeszkodzie należytemu spełnianiu jego obowiązku, są przyczyną jego udręczeń. Przed innemi, w pierwszej linji występują niechęć i upor, które już w zaraniu jego życia tak potężnie się rozwijają, że tylko nader silna ręka zdoła je wyplenić. Utrudnia rzecz niekorzystna okoliczność, że każdy właściciel takiego konia, sprzedaje go jak może najrychlej. Nowy nabywca, traktuje konia podług własnej metody; koń wędruje z jednej twardej szkoły w drugą, a rezultatem tego jest, iż narowieje, iż upór jego i złośliwość rosną, pociągają za sobą fizyczne nawet cierpienia i rany, a miara udręczeń wzmaga się w nieskończoność. Nie tylko usposobienie konia, alo cała jego budowa, kadłub, postawa, pierś i szyja, a nawet właściwości jego skóry, winny być od pierwszej chwili jego młodości brane pod uwagę. Częstokroć zawodzi chętny nawet koń, przy ciągnięciu ciężaru z tego jedynie powodu, że budowa jego ma nieodpowiedni kształt, że doznaje bolu, że skóra na karku i piersiach jest tak pełną nerwów i tak delikatną, iż nie może znieść nacisku chomonta lub szleji. Niemożność spełnienia zadania, przypisuje się w tym wypadku usposobieniu zwierzęcia, a woźnica, któremu brakuje należytej rozwagi, używa niesłusznie środków przymusowych. Ujemne

strony usposobienia może umiejętna ręka, jeżeli nie zupełnie usunąć, to przynajmniej znacznie zmodyfikować, braków fizycznych nie zdoła jednak nikt zmienić, to też niekiedy wskazanem jest raczej konia zgładzić ze świata, aniżeli go zwolna, dręczeniem zabijać. — Łatwo pojąć, iż Towarzystwa ochrony zwierząt, w tym kierunku nader wyjątkowo tylko mogą skutecznie działać. Trzeba w tej mierze masy ludowe nie wykształcać, ale wychowywać. Wiele się czyni i łoży na wykształcenie ludu, mało na jego wychowanie, a tylko ten, który jest sam dobrze wychowanym, może zwierzę należycie wychowywać. Jakżeż korzystnem byłoby, z punktu nietylko humanitarnego ale i ekonomicznego, gdyby właściciele koni mogli złączyć się w stowarzyszenie, mające za zadanie wychowywanie i nakładanie źrebiąt, a więc niejako szkołę zwierząt. Szkółka taka, mogłaby modyfikować błędy w usposobieniu koni, w dalszej konsekwencyi zaś chronić je od udręczeń i nadużyć woźniców, a właścicieli od materjalnych strat. Odpowiednio wykształcony, a tem samem zdolniejszy do pracy koń, przyniósłby właścicielowi zadowolenie w kierunku realnym, a z czasem i idealnym. Zwierzę domowe odczuwa, podobnie jak i człowiek każde ostre słowo, każde przekleństwo i wywołuje ono nieraz i u zwierzęcia bierny opór, albo i odruch czynny. Przychylność właściciela do zwierzęcia, ma jeszcze jedno donośne znaczenie. Ulubione zwierzę, w obecnym przypadku koń, nie wędruje tak rychło z rąk do rąk, nie jest więc zniewolonem akomodować się ustawicznie do wymogów nowego pana, nie jest narażonem na udręczenia. Z tych samych powodów nie jest wskazaną ustawiczna zmiana woźnicy, lub też poganiacza przy robotach polnych. O ileż to lepiej chodzą i pracują konie, znajdujące się stale w jednej ręce. One uprzedzają formalnie myśli woźnicy, a i ten zna dokładnie ich wszystkie narowy i podstępy i może je łatwo paraliżować.

Uogólnić powyższy stosunek ludzi do zwierząt, jest ważnem zadaniem Towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Notoryczną rzeczą jest, że klasy robocze nie odnoszą się właściwie przychylnie do wspomnianych Towarzystw, mniemając, iż członkowie Towarzystwa nie mogą mieć należytego sądu o usposobieniu konia i nie mogą ocenić tegoż zdolności do pracy. Niezaprzeczamy, że żądanie członków Towarzystw bywa niekiedy przesadnem i zdradza nieznajomość właściwego

stanu rzeczy, lecz generalizować tego twierdzenia nie można. Wkraczanie w zajęcie innego człowieka, drażni tegoż ambicję i dumę i tworzy nieprzyjaciół dla wkraczającego, to też powinno się w tym kierunku działać przezornie i z rozwagą i tylko tam wkraczać, gdzie zachodzi widoczna tegoż potrzeba. Im więcej zyska się przyjaciół między ludem rolniczym, tem skuteczniejszą będzie akcja w kierunku ochrony zwierząt. Trzeba tylko umieć oddziaływać na praktyczny zmysł nieoświeconych ludzi i chwytać ich za serce. Jeśli się ich przekona o materjalnej korzyści z ochrony zwierzęcia, z nienadużywania jego sił, zyska się bezwątpienia zwolenników.

Jeszcze jedno. Istnieją premie za wzorowe okazy koni. Czy nie możnaby wypłaty premij tych uczynić jeszcze zależną od dobrego wychowania i dobrego nałożenia konia, dla którego miast batów wystarczyłyby skinienia, słowa i nawoływania woźnicy który byłby łagodnym, spokojnym i w stosunku do drugich koni zgodliwym?

Polemika na temat wróbli.

Dokończenie.

„Odezwa, której zadaniem jest: ochrona i pomnożenie ilości pożyteczniejszych od wróbli ptaków, nigdy celu tego nie dopnie, gdy wróbli tępić nie będziemy. Obecna nadmierna ilość wróbli u nas jest właśnie jedną z ważnych przyczyn tak małej ilości innych pożyteczniejszch ptaków. Wróbel pomiędzy ptasim narodem jest z usposobienia i charakteru: „Prusakiem". Słabszych gniecie, wyrzuca, zabija a na silniejszych od siebie ma swój fortel specjalny: oto stara się mu owym „miłym gwarem" i „harmonijną wrzawą" tak pobyt w obranem miejscu obrzydzić, że zmusza go do dalszej wędrówki za gniazdem.

„Obserwowałem przez długie lata wróble — pisze autor odezwy — i poznałem wszystkie ich wady. Słabszych ptaków, jak: sikorek, muchołówek, pełzaczy, jaskółek, wogóle ptaków, które się w dziupłach i półdziupłach gnieżdżą, nie dopuszcza do gniazd, a nawet raz widziałem jak wróble gromadnie z a b i ł y sikorkę, która się chciała dostać do swych młodych w gniazdku. Innym razem widziałem, jak silniejszego od nich

szpaka, wróble tak prześladowały, że całymi dniami musiał strzedz gniazda i nieustanną walkę z nimi staczał, by uchronić młode od zagłady. Gdybym wróbli nie tępił, miałbym dziś w moim sadzie same tylko wróble — żadnych innych ptaków! Całe społeczeństwo w swoim własnym interesie starać się powinno, aby ilość ptaków pożyteczniejszych od wróbli doprowadzić do obecnego stanu wróbli, a stan wróbli do obecnej ilości ptaków w odezwie wymienionych. Bez tępienia wróbli nigdy do tego nie dojdziemy, ze względu na wielką płodność wróbli, jakiej inne ptaki nie posiadają. Że wróbel to wielki próżniak, nicpoń i szkodnik w rolnictwie i sadownictwie, przykładów dam kilka: Widziałem go w maju, miesiącu chrząszczy, jak zamiast niszczyć te szkodniki, całymi dniami czatował na drzewie, aby z kurami się pożywić. A łany pszenicy jak wyglądają?! szczególnie te w pobliżu miast, gdzie wróble najwięcej się mnożą!

Co nie zje, to złamie i przytłoczy do ziemi, wybiera lepsze ziarnka, a gorsze wyrzuca; nie pomogą straszydła ani nawet strzelanina A czereśnie? A wiśnie? Nie pomogą siatki ochronne na drzewach! Wszystko co zobaczy, do szczętu wyniszczy! W zimie obsiada gromadnie drzewa owocowe, porzeczki i niszczy cały plon spodziewany! Pewnego dnia spostrzegłem w ogrodzie śnieg, jakby czarnym pyłkiem przysypany, to wróbel „przyjaciel" tak mnie urządził! Czarny proszek na śniegu, to były łuski z pączków drzew owocowych, a niedaleko pod krzakami porzeczek to samo zniszczenie! Niemcy, naród praktyczny i rozumny, posiadają odrębne stowarzyszenia do ochrony ptaków pożytecznych „Der deutsche Verein zum Schutze der Vogelwelt" tępi starannie wróble przez niszczenie ich jaj, za które płaci dość znaczne kwoty. Oni dążą do celu bez ckliwości i fałszywego sentymentalizmu! Tam nie ma różnicy między miastem a wsią, bo miasta przecież od wsi w powietrzu murem odgraniczyć nie można — przeciwnie, w miastach jeszcze skuteczniej tępią wróble i mają za to zamiast wróbli mnóstwo innych pożyteczniejszych ptaków i m lszych śpiewaków! Gdy w miastach u nas chronić się będzie wróble, nigdy do celu nie dojdziemy, bo właśnie miasta będą ich rozpłodnikami. Jeśli obrońca wróbli uważa za ich zaletę spożywanie odpadków w mieście, to czynność tę znacznie lepiej wykonać po-

trafią: szczury — należy więc i szczury ochraniać; są także zwinne i wesołe!

Że wróbla już i u nas nareszcie zaczęto uważać za szkodnika, świadczy projekt dotyczący ochrony ptactwa, wniesiony na ostatniej sesji sejmowej, projekt do ustawy krajowej, w którym wróbel skazany jest na zagładę.

Znając pod tym względem opieszałość naszego społeczeństwa, jesteśmy pewni, że do wytępienia wróbli nigdy u nas nie przyjdzie, ani też odezwa do tego celu nie dąży! Pragnęlibyśmy tylko stworzyć pewną równowagę w naturze, na rzecz ptaków pożytecznych i właśnie miasta, a w nich obrońcy wróbli — nie chcą tego zrozumieć!“

Tyle jest słów ewangelji sadowniczo-ogrodniczej o wróblach.

KAZET.

Odezwa Tow. sadowniczo-ogrodniczego w Wieliczce (Nr. 182 „Słowa polskiego“), wzywająca do tępienia wróbli, wron i t. p. krwiożerczych bestji, zmusza mnie do nakreślenia kilku uwag.

Nie tak to dawne czasy, kiedy czytaliśmy we wszystkich dziennikach, że rząd Stanów Zjednoczonych wytępiwszy niemal doszczętnie wróbla w Północnej Ameryce, zmuszony był następnie sprowadzać go za drogie pieniądze całymi okrętami z Europy, aby uchronić roślinność od zupełnego zniszczenia przez robactwo.

Z własnej obserwacji przekonałem się również, jak pożytecznym jest wróbel. Oto w zimie 1907, wymarzły wróble tak znacznie, że latem prawie widać ich nie było. We wsiach podlwowskich, gdzie wróbli nie było, gąsienice zniszczyły nietylko zbiory owoców, lecz nawet i liście lasy znów zniszczone były przez chrząszczą majowego tak strasznie, że sam widziałem całe partje lasów w Hołosku wielkiem zupełnie bez liści. Jak leśnicy twierdzili, drzewa te zginą. Wiadomo zaś każdemu, jakimi amatorami gąsienic i chrząszczów są wróble. Drzewa oblepione gąsienicami, zwabiają całe stada wróbli, a dzieje się to zwykle na wiosnę, gdy innego pożywienia ptaszki te nie mają. Później w lecie zapewne, że lubią one i czereśnie, wiśnie, słodkie gruszki i t. p. specjały, lecz nawet za złe tego brać im nie

można, gdyż cała zasługa, jeśli owoce zrodziły przypada wróblom, skromny więc ten ubytek owoców ptaszki te tysiąckrotnie wynagradzają.

Samo porównanie ilości wróbli i klęski gąsienicowej w r. 1907, z ilością wróbli i pięknym zbiorem owoców w roku 1908 (przynajmniej w gminach podlwowskich) przekonuje mnie dostatecznie o wielkiej pożyteczności wróbla, ochraniam go też i żywię przez zimę wedle możności.

Albo potępiona przez Tow. wielickie wrona, czyż także jest zupełnie bezużyteczna? Wszak każdy, kto widział orzącego na polu rolnika, mógł zauważyć zawsze na zoranem polu krzątające się stadko wron, kawek, kruków, a nawet srok, które prawie z pod pługa wyciągają jakieś białe, krótkie a grube robaki. To są pędraki chrabąszcza majowego, tego niszczyciela drzew i lasów, którego tępieniem nawet samo Wysokie Namiestnictwo zajmować się raczy. I zapewnić mogę szanownych czytelników, że pod tym względem rywalizacja Wysokiej Władzy z pod kawek z tymiż samymi kawkami i wronami wcale na korzyść pierwszej nie wypada, zwłaszcza, że drugie zajmują się prócz tego niszczeniem padliny, gnijących odpadków, śmieci i t. p. wykonują zatem obowiązki policji sanitarnej, w czem znów ze strony Wysokiej Władzy pozostają przeważnie bez konkurencji.

Okazuje się więc, że i te ptaki raczej na względy, niż na potępienie zasługują. Dziwnem jest więc i ubolewania godnem, że zawodowe Tow. ogrodniczo-sadownicze w Wieliczce, ogłaszając swą odezwę w celu tępienia tych ptaszków, jak jakich drapieżnych zwierząt, na szpaltach poczytnego dziennika, stara się szerzyć równie fałszywe, jak szkodliwe teorje, które zachęcić mogą różnych bezmyślnych tępicieli ptaszków i pożytecznych zwierząt, jak ów z ulicy Zyblikiewicza, do dalszego kształcenia swych zdziczałych już i tak instynjów.

Przyroda zresztą sama utrzymuje równowagę, by się coś zanadto nie rozmnożyło i szkodliwem nie stało, niech więc Towarzystwo wielickie zajmie się lepiej rozwojem sadownictwa i ogrodnictwa po wsiach, gdzie wielka tego potrzeba, a opiekę nad wróblami i wronami zostawi przyrodzie, która to lepiej potrafi. J. B.

* * *

Pojęcia „użyteczne“ i „szkodliwe“ wiesza się tu na dwu szalach, a subtelną musi być różnica przewagi jeśli ogół jej wyraźnie nie spostrzega. Spostrzedz tę różnicę i zawyrokować ostatecznie mogą tylko badacze przyrody, których zdania oczekujemy z upragnieniem.

Józef Białynia Chołodecki.

Międzynarodowy kongres Towarzystw ochrony zwierząt.

W czasie od 6. do 12. lipca b. r. obradował w Londynie czwarty międzynarodowy kongres „Światowego związku ku ochronie zwierząt i przeciw wiwisekcyi“, pod przewodnictwem znanego parlamentarzysty Sir Jerzego Kekewicha. Księżna Löwenstein-Wertheim przywitała gorącemi słowami zebranych przeszło 800 członków kongresu, między nimi 270 delegatów, reprezentujących 245 towarzystw z 31 państw i krajów. Galicyę zeprezentował delegat z Gracu. Kongres podzielił się na rozliczne sekcje, w których wygłoszono 113 odczytów — Prelegentami było wielu wybitnych członków angielskiego parlamentu, niemniej lekarzy, którzy uważają wiwisekcję jako zbędną. Angielskie towarzystwo parlamentarzystów, dążące do zniesienia wiwisekcji liczy 147 członków, należących do rozmaitych stronnictw politycznych. W dyskusjach i polemikach zabierali między innymi głos Dr. Quidde w sprawie kodyfikacyi ustaw przeciw dręczeniu zwierząt, dyrektor Heiss w sprawie ogłuszania zwierząt przed tychże zabijaniem, Magnus Schwantje w sprawie łączenia się związków Towarzystw opieki nad zwierzętami z innemi stowarzyszeniami o etycznych celach, Anna Besant i dziennikarz W. T. Stead przeciw wiwisekcji i t. p. W parku szpitala Towarzystwa antiwiwisekcyjnego, odbył się na cześć członków kongresu wspaniały festyn. Szpital ten został założonym przez stowarzyszonych jedynie w tym celu, aby udowodnić iż kuracja może osiągnąć i bez wiwisekcji pomyślne wyniki. Następnego dnia odbył się manifestacyjny korowód przez główniejsze ulice Londynu, w którym wzięło udział, pomimo deszczu, 10.000 uczestników. Korowód podążył do Hydeparku, gdzie na 4 trybunach zabierali głos przeciw wiwisekcji lekarze i znani członkowie parlamentu. W niedzielę wygłosił archidjakon Westminsteru Ba-

zyli Wilberforce w kościele Śgo Jana, kazanie, na którem pouczał zebranych o celu i znaczeniu kongresu. Żywy udział ludności w wszystkich punktach programu kongresu, udowodnił iż ruch w kierunku ochrony zwierząt i walki przeciw wiwisekcyi, zakreśla w Anglii potężne koła. — Jestto zwłaszcza zasługa kilkuletniej pracy dwóch znanych agitatorek Lizzi Lind af Hageby i Leisy Schartan, które nie szczędziły także zabiegów i trudów, by doprowadzić do skutku ten imponujący swemi rozmiarami kongres.

Czytając odnośne relacje dziennikarskie, powracamy mimowoli do objawionego przez nas niejednokrotnie zdania, iż nasze panie wiele, bardzo wiele mogłyby działać, gdyby zechciały szczerze i wytrwale zająć się propagandą i krzewić wśród naszego nieuświadomionego należycie społeczeństwa, zasady humanitarne i etyczne.

Kalendarzyk łowiecki. Lipiec. Wolno polować na kozły, ptactwo błotne i wodne. Nie wolno sprzedawać: jeleni, zajęcy, jarząbków, głuszców i cietrzewi, kuropatw, przepiórek, dzikich gołębi, pardw i dropi. — Przez cały rok wykluczone są z polowania i sprzedaży: łanie i sarny (kozy), cielęta, spiczaki, tudzież kury głuszców i cietrzewi.

Przystąpili do Towarzystwa. JWPP. Karol Scherantz w War. Rudzie, Aleksander Karczewski w Morańcąch, Antoni Buda w Lesie grzymałowskim, Zygmunt Piszczakowski w Cyganach, Otto br. Klobasa w Łydygowicach, A. Rieger w Krzyszkowicach, Józef Witoszyński w Drohobyczu, Jan Terlecki w Niemirowie, Józef Dniestrzański w Zbarażu.

† Kazimierz hr. Badeni

były namiestnik Galicji, później premjer gabinetu austryjackiego, długoletni członek Gal. Tow. ochrony zwierząt, zmarł nagle 9. lipca b. r. Cześć jego pamięci.

Nakładem Towarzystwa. — Z drukarni i litografii Pillera, Neumanna i Sp.